



Śmigło

ŻEGNAMY



Krakowskie lodowiska

Pierwsze lodowisko w Krakowie powstało pod koniec XIX wieku w parku Krakowskim. Dzisiaj jest ich naprawdę wiele!

dawniej i dziś

Temperatura gwałtownie spada, lada moment spadnie pierwszy śnieg. Zimowa aura sprzyja uprawianiu sportów zimowych. W Krakowie z roku na rok coraz większą popularnością cieszą się łyżwy. Zwolennicy zimowych ślizgawek na pewno nie mają w naszym mieście prawa do narzekania. Jest wiele miejsc, gdzie można poczuć wiatr we włosach, nauczyć się nowych figur podczas ślizgania i miło spędzić czas ze znajomymi.

Popularność tego sportu rośnie od niedawna. Ale specjalnie przystosowane do ślizgania buty pojawiły się już bardzo dawno temu. Kiedy dokładnie? 100, 200, a może 500 lat temu? Otóż najstarsze artefakty pochodzą już z epoki brązu! Zostały znalezione w różnych częściach Europy, głównie tam, gdzie panowały srogie zimy. Ich przednie części miały kształt dziobu, a tył był przycinany pionowo. Niektóre z nich miały również wywiercone otwory na rzemienie, dzięki czemu stopa mogła ściśle przylegać do buta. łyżwy najczęściej wykonane były z kości bydła domowego lub reniferów i wykorzystywane wyłącznie do przemieszczania się. Nie przewidywano wtedy raczej, że łyżwiarstwo w przyszłości stanie się popularnym sportem. Evolucja zaczęła się w średniowieczu. Ze względów praktycznych tworzone łyżwy drewniane z metalowym usztywnieniem wewnątrz. W XVIII wieku zaczęły pojawiać się łyżwy wykonane z metalu. Były one z pewnością dużo wygodniejsze i praktyczniejsze. Zwłaszcza gdy nogę można było spiąć za pomocą specjalnych zatrasków. No, a dziś mamy różne typy łyżew,

które są zdecydowanie lepiej przystosowane do jazdy niż te sprzed wieków.

Rok temu mieliśmy okazję podziwiać średniowieczną, wykonaną z kości łyżwę. Była eksponowana w gablocie Muzeum Archeologicznego. Znalaziono ją w kościele świętego Andrzeja, w centrum naszego miasta, podczas prac archeologicznych z lat pięćdziesiątych. Według archeologów pochodziła z czasów wczesnego średniowiecza. Prawdopodobnie używana była do przesuwania się po lodzie bez podnoszenia nóg. Aby nie upaść, łyżwiarze sprzed wieków wspomagali się kijkami. Cenny artefakt w lutym ub. roku został okrzyknięty „zabytkiem miesiąca”.

W Krakowie pierwsze lodowisko powstało pod koniec XIX wieku w parku Krakowskim. Korzystali z niego głównie hokeiści Wisły w latach trzydziestych XX wieku. Amatorzy natomiast wychodzili z domów podczas mroźnej zimy i ślizgali się przede wszystkim na zamrożonych rzekach czy jeziorach.



Najstarsze artefakty pochodzą z epoki brązu! Zostały znalezione w różnych częściach Europy, głównie tam, gdzie panowały srogie zimy.

Lodowisko na Grzegórkach, fot. Henryk Hermanowicz, 1966-1967, wł. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa

Łyżwiarstwo było wówczas popularne, bo nie był do tego potrzebny specjalistyczny sprzęt. W przeciwieństwie do narciarstwa, gdzie konieczny był specjalnie przygotowany strój oraz grube skarpetki, do ślizgania wystarczały ciepłe ubrania, szalik i rękawiczki.

Pod koniec lat pięćdziesiątych postanowiono utworzyć kolejne lodowisko – na Cracovii. Jego budowa trwała dwa lata. Obiekt został ukończony w 1961 roku. Podczas ceremonii otwarcia rozegrano mecz hokejowy, w którym zmierzyły się na nim



drużyny Cracovii oraz Startu Katowice. Co prawda nie udało się tego meczu wygrać (Cracovia przegrała 1-3), ale za drugim razem już była lepsza i zakończyła spotkanie wynikiem 4-3 dla gospodarzy. W 1966 roku powstała mała tafla, a dziesięć lat później lodowisko zostało przykryte halą. W 2002 roku pojawił się pomysł: przejął je klub MKS Cracovia. Stało się tak dokładnie dwa lata później. Cracovia podpisała umowę, na mocy której klub uzyskał możliwość dzierżawy lodowiska przez trzydzieści lat. Dzięki temu nie tylko służy do rozgrywek hokejowych, ale każdy może tu przyjść i poprobaować swoich sił, sunąc na lodzie.

Ślizgawka w Nowej Hucie, fot. Józef Lewicki, lata 60. XX w., wł. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa

**„ Pod koniec lat pięćdziesiątych
postanowiono utworzyć kolejne
lodowisko – na Cracovii.
Jego budowa trwała dwa lata.
Obiekt ukończono w 1961 roku.**

W Krakowie jest jeszcze kilka innych lodowisk. W parku Jordana możemy pojeździć na największej ślizgawce pod gołym niebem. Można tu szusować na jednej z trzech tafl: dużej, małej lub szybkiej. Ciekawą alternatywą są również lodowiska „pod chmurką” przy Galerii Krakowskiej i przy NCK-u w Nowej Hucie. Na Olszy można z kolei pojeździć na lodowisku krytym przy ulicy Eisenberga.

Aktywnie, na łyżwach spędzony czas nie jest z pewnością czasem straconym. Jak widać – możliwości jest sporo. A niewykluczone, że któregoś jeszcze lodowiska nie wymienię...

 Mateusz Talaczyński



Łyżwiarze Zespołu Sportowego „Stal”, fot. Agencja Fotograficzna „Światowid”,
lata 30. XX w., wł. Muzeum Historyczne Miasta Krakowa







Pozostanie mi długa lista śmigłowych wspomnień

Rozmowa z Tomaszem Talaczyńskim, redaktorem naczelnym i wieloletnim opiekunem magazynu „Śmigło”.

- To już ostatnie wydanie „Śmigła”. Nie żał Panu? Był Pan redaktorem naczelnym tego tytułu od samego początku.
- Na pewno czuję wzruszenie. Redagowałem „Śmigło” przez 15 lat. Pierwsze wydanie czasopisma ukazało się w maju 2003 roku. Obecni uczniowie trzeciej klasy gimnazjum dopiero się rodzą, młodszych jeszcze nie było na świecie, a Polska jeszcze nie należała do Unii Europejskiej. Szmat czasu, kilkanaście roczników autorów i czytelników. Trudno mi rozstać się z tytułem. Ale jak już napisał pewien uznany autor – „coś się kończy, coś się zaczyna”.
- Skąd pomysł wydawania krakowskiego czasopisma dla młodzieży?
- „Śmigło” to czasopismo dla gimnazjalistów. Po powstaniu gimnazjów w Krakowie zrodził się pomysł, że bytoby dobrze

stworzyć gazetę właśnie dla uczniów tego rodzaju szkół. Ludzie w wieku 13–15 lat zaczynają niejako „wymyślać siebie na nowo”. Ważne staje się uczestnictwo w grupie rówieśniczej, człowiek szuka wzorców postępowania, myśli o tym, jaki chce być, buduje swoją tożsamość. Chcieliśmy wydawać gazetę pisaną przez młodzież, w której mogliby się – by tak powiedzieć – „przejrzeć” ich rówieśnicy. Gazety, która mówiłaby o relacjach międzyludzkich, aktywności społecznej i wielu sprawach, które są ważne dla nastolatków. Chcieliśmy pomagać odbiorcom „odnaleźć się w tym nowym świecie”. Chodziło też o to, żeby zaprezentować młodym swego rodzaju pozytywne podejście do życia.

- A dlaczego akurat forma gazety?
- Wtedy, kiedy zaczynaliśmy, internet nie był tak rozwinięty jak dzisiaj. Czytanie było czymś normalnym. W zeszłym roku zamknięto magazyn „Bravo”, tymczasem gdy rodziło się „Śmigło”, podobne gazety były rekordy popularności. Czasopisma były normalnym nośnikiem informacji. Wydawało się więc, że to będzie najprostsza droga w dotarciu do krakowskiej młodzieży.
- Skąd tytuł „Śmigła”?
- Nazwa była może trochę przypadkowa. Ale przyjęła się. Potem uważałem zawsze, że „Śmigło” niesie ludzi w górę, podobnie jak helikopter.
- Jakie wydania „Śmigła” najbardziej zapadły Panu w pamięć?
- Trudno powiedzieć... Niektóre edycje okazały się kontrowersyjne. W jednej ze szkół skasowano jeden z pierwszych numerów magazynu. Tematem były relacje chłopak-dziewczyna, a na okładce wybiliśmy tytuł „Seks to jeszcze nie



miłość". Gazeta zawierała rozmowę nastolatków, w której przekonywali się, że wczesna inicjacja seksualna to nic dobrego. Ale słowo „seks” na okładce okazało się nie do przyjęcia. Zatem w tej szkole dystrybucję wydania zatrzymano.

- **Był pan zaskoczony?**

- Trochę się zdziwiłem, bo intencje mieliśmy jak najbardziej pozytywne. Chcieliśmy namawiać młodych ludzi, by unikali zachowań ryzykownych w tej sferze.

- **Inne ciekawe edycje magazynu?**

- Bardzo ciepło wspominam emocjonalną rozmowę w jednym z pierwszych numerów, w którym redaktorki rozmawiały z policjantami z wydziału prewencji policji, który zajmował się nastolatkami. Między rozmówcami doszło do gorącej dyskusji na temat tego, jak młodzież może się zachowywać w miejscach publicznych i czy policjantom wolno legitymować bez wyraźnego powodu. Przygotowaliśmy też inne ciekawe numery. Na przykład w jednym opowiadaliśmy, jak „robi się” telewizję. Zrobiliśmy wtedy reportaż z krakowskiego ośrodka TVN. Innym razem temat przewodni krzyczał „Śmigło za kratami”. Zrobiliśmy wycieczkę do jednego z krakowskich więzień i zrobiliśmy z tego reportaż. Był też numer poświęcony graffiti, zastanawialiśmy się, czy jest dobrym czy złym pomysłem. Namawialiśmy do czytania, pisaliśmy o samotności nastolatków, o buncie, o subkulturach młodzieżowych. Lista moich wspomnień jest długa.



- **W czasopiśmie ukazywały się również wywiady.**

Czy któryś wspomina Pan ze szczególnym sentymentem?

- Wydaje mi się, że najciekawsza była rozmowa ze Zbigniewem Wodeckim. Teraz, po jego śmierci, mam poczucie, że wywiad z nim był wspaniałym pomysłem. A Wodecki umiał genialnie opowiadać... Wówczas w redakcji mieliśmy Krzyska Maternego, który lubił robić wywiady i potrafił „polować” na ciekawych rozmówców.

- **A dlaczego to Pan dostał ofertę prowadzenia „Śmigła” i dlaczego Pan ją przyjął?**

- „Śmigło” zaczęło się w środowisku Siemachy, a jego pomysłodawcą był ksiądz Andrzej Augustyński. W 2003 roku pracowałem w Siemasze i redagowałem siemachowską gazetę dla młodzieży. Ale miałem także doświadczenie dziennikarskie i redakcyjne, bo wcześniej współpracowałem z kilkoma profesjonalnymi redakcjami, choć nie byłem etatowym dziennikarzem.

- **Pierwsza ekipa i pierwsza siedziba – kim byli ci ludzie i gdzie się spotykaliście?**

- Pierwsza ekipa to byli siemachowcy, do których po kilku numerach dołączyli inni. Po prostu zebrałem chętnych, którzy potrafili pisać. A jeśli nawet nie, to przynajmniej próbowali. Na pewno pierwsze wydania były dalekie od doskonałości. Ale dopiero rozkręciliśmy nasze „Śmigło”. Najważniejsza okazała się pasja redaktorów i chęć tworzenia. Spotykaliśmy się w małej salce w podziemiach Siemachy na Kozłówce. Może przy tej okazji warto podkreślić, że „Śmigło” bardzo wiele zawdzięcza środowisku Siemachy. W jej ośrodkach zawsze znajdowała się siedziba redakcji. A ja osobiście w Siemasze nauczyłem się, jak trzeba rozmawiać z młodzieżą, żeby wzajemnie się słyszeć.

- **Ilu redaktorów przygotowywało pierwsze wydania?**

- Pracowałem w ośrodku Siemachy, więc miałem stały dostęp do młodzieży. Dzięki temu na pierwsze spotkania redakcyjne przychodziło więcej niż dwadzieścia osób. Z tym, że nie wszyscy pisali.

- **Co Pana najbardziej zaskoczyło w pracy z młodzieżą?**

- Właściwie nie wiem, czy mnie coś zaskoczyło. Zawsze lubiłem śmiglaków, przez wszystkie lata pracowałem mi się z nimi dobrze. Starłem się traktować ich jak młodszych kolegów w pracy. Trudno mi więc wskazać jakieś wielkie zaskoczenie, bo czułem się jednym z nich. No, może jestem zaskoczony, kiedy do redakcji przychodzi nowy człowiek i potrafi tak napisać, że w jego tekście nie trzeba wiele poprawiać. Wtedy cieszę się, że trafiła się taka „perełka”. Byłem też zaskoczony, że ludziom zależy na papierowej gazecie w czasach, kiedy wszystko przenosi się do internetu.

- **Czy to koniec „Śmigła” po 15 latach działalności?**

- Tak, to koniec „Śmigła”, koniec tej marki. Nie będzie gimnazjów, zatem nie będzie gazety dla gimnazjalistów. Mam jednak nadzieję, że od przyszłego roku ruszymy z nowym projektem medialnym – z nową marką dla szkół ponadpodstawowych. Na pewno będzie to trochę inne czasopismo, bo skierowane do nieco starszego czytelnika.

- **Czy „Śmigło” spełniło swoją rolę?**

- Gdybym uważał, że to, co robiliśmy, wpłynęło znacząco na postawy wielkiej grupy młodych ludzi, to pewnie popadłbym w niesłuszne zarozumiałstwo. Sądzę natomiast, że „Śmigło” było dobrym przystankiem na drodze tych, którzy się w nie zaangażowali. Redagowanie gazety wymaga myślenia. Trzeba zastanowić się nad tekstem, nad przekazem. Dzięki takiej szkole wielu naszych redaktorów pracuje teraz w mediach. Myślę, że odbiorcy, którzy regularnie czytali nasze czasopismo, także na tym skorzystali. Choć nie była to gazeta, na którą wszyscy się rzucają, to dostawałem informacje od nauczycieli, że nakład „schodzi”, a uczniowie są zainteresowani. Czasem artykuły ze „Śmigła” były wykorzystywane nawet jako wprowadzenie do dyskusji na lekcjach wychowawczych. I o to między innymi chodziło.

- **Dziękujemy za wywiad.**

 Rozmawiali: Milena Morawiec, Bartek Hałatek i Janek Skowronek

Mam „Śmigło” w CV!

Pisanie tekstów do naszego czasopisma było dla nas naprawdę ważną przygodą.

Kilka minut zajęło mi, aby zastanowić się, ile czasu minęło od mojej pierwszej wizyty w redakcji „Śmigła”. 11 lat! Dokładnie 11 lat temu pierwszy raz przekroczyłam próg siedziby redakcji przy ul. Mogiłskiej. Sama nie mogę w to uwierzyć. Małutki pokój z niewielkim oknem i dużym stołem, dokoła którego zasiadaliśmy. Czasem w kilka, czasem w kilkanaście osób. Ekipa się zmieniała, ale na straży pozostawał niezmiennie Pan Tomasz, który próbował rozbudzić w nas małe i duże talenty dziennikarskie. Stąd zapewne napisany kiedyś przeze mnie artykuł „Dziś Śmigło, jutro Fakty”. „Faktów” jeszcze nie prowadzę. Ale kto wie, wszystko przede mną! Obecnie dziennikarskie zapędy uciły i nie tędy powiodła mnie moja zawodowa droga. Ale została potrzeba bycia kreatywnym. Jeszcze w trakcie studiów zaczęłam pracę w agencji reklamowej. Na razie tutaj jest moje miejsce. Choć przyznam – czasem tęsknię za pisanem tekstów.

MIELIŚMY SWOICH FANÓW

Do dziś pamiętam, jak dużym wydarzeniem było zobaczyć swoje teksty wydrukowane w gazecie, która docierała do krakowskich gimnazjów. To oznaczało, że nie tylko mama czy babcia były dumne z moich wysiłków, ale także koledzy ze szkoły wydawali się zainteresowani tematem.

W pamięci utkwilo mi jedno z redakcyjnych spotkań, na które przyszło kilka nowych osób. Wśród nich dziewczyna, która chciała mnie poznać. Była niewiele młodsza ode mnie, ale czytała moje artykuły, lubiła je. Wtedy po raz pierwszy poczułam, że jako autorki tekstów nie jesteśmy anonimowi i też możemy mieć swoje małe grono fanów. Mogłam się przekonać, że tam, po drugiej stronie, jest odbiorca tego, co my w pocie czoła co miesiąc tworzyliśmy. Dużym wyróżnieniem było dla mnie także objęcie stanowiska sekretarza redakcji. Przybyło obowiązków, ale już wtedy czułam, że jest to budowanie ścieżki kariery, którą kiedyś wpiszę do CV.

NAUKA PISANIA

Czas spędzony w redakcji pozwolił mi nauczyć się podstaw tworzenia tekstów dziennikarskich, wypracować w sobie terminowość zakończenia powierzonych zadań, ale przede wszystkim zaowocował gronem nowych znajomych. Niektóre przetrwały do dziś, inne nie, ale każda wniosła coś do mojego życia. Pan Tomasz wspomina, że to ja rozpoczęłam tradycję spotkań wigilijnych w „Śmigle”. Właśnie taki dzień był zawsze idealną okazją do spotkań tych już trochę „za starych” redaktorów z obecną ekipą redakcji.

Dzięki znajomościom nawiązanym w tym czasie po działalności w „Śmigle” nie zakończyłam aktywności dziennikarskiej. Przez pewien czas z osobami poznanymi na spotkaniach redakcji tworzyliśmy materiały dla telewizji internetowej. Był to także czas nabywania nowych umiejętności i wyjątkowych spotkań z wieloma znanymi osobami z show-biznesu.

KILKA PIĘKNYCH LAT

Kiedy napisałam swój ostatni artykuł? Nie pamiętam. Ale może to dobrze, bo lepiej pamiętać, jak się coś zaczynało, niż jak przygoda dobiegała końca. Moja przygoda ze „Śmigłem” trwała kilka lat, mniej więcej od początku gimnazjum do końca liceum. Z trudem przychodzi mi żegnać format, który przez długich 15 lat tworzyło tyle wspaniałych osób. Czas jednak na zmiany. Pozostaje tylko życzyć powodzenia kolejnym pokoleniom młodych dziennikarzy tworzącym redakcję krakowskiego czasopisma młodzieżowego!

 Magdalena Bodzioch

„Do dziś pamiętam, jak dużym wydarzeniem było zobaczyć swoje teksty wydrukowane w gazecie, która docierała do krakowskich gimnazjów.”

W redakcji „Śmigła” nauczyłam się **wszystkiego**

Miałam wtedy 14 lat. Wysłałam tekst do redakcji „Śmigła” i w ten sposób stanęłam w drzwiach swojej dziennikarskiej kariery...

Hektolitry herbaty, burzliwe dyskusje, setki wylanych łez ze śmiechu, nieraz zaciśnięte z zacietrzewienia pięści, gdy redakcyjne negocjacje przyjmowały gorący obrót. Tak kiedyś wyglądała redakcja „Śmigła” – miejsce, które mnie i wielu innych młodych ludzi ukształtowało w najlepszy sposób.

Z GRANATOWĄ OKŁADKĄ W RĘKU

Stoję na gigantycznym, wypełnionym ludźmi szkolnym korytarzu. Mam na sobie czarne, ultraszerokie dżony. Mogłabym w nich przemycać lodówki albo inny sprzęt AGD i nikt by się nie zorientował. Megaobciachowe jak na dzisiejsze czasy. To dzięki nim i mojej nadzwyczajnej sympatii do czerni za kilkanaście dni dostanę przydomek „małe czarne”. W rękach mam październikowe wydanie „Śmigła” z granatową okładką. Jest adres mailowy i informacja, że szukają ludzi, którzy mają żyłkę do pisania. Jest rok 2004, a ja właśnie stanęłam w drzwiach swojej dziennikarskiej kariery. Tej samej, która okazała się najciekawszą przygodą mojego życia. Tylko że jeszcze o tym nie wiedziałam.

PROFESJONALNA REDAKCJA

Wysłałam tekst, do dziś pamiętam jaki. To była recenzja książki „My, dzieci z dworca ZOO”. Okropna. Napisana jak na szkolne wypracowanie. Bez żadnego sensu, bez polotu. Może do encyklopedii by się nadała, ale na pewno nie do gazety. Wróciła pokreślona z góry na dół. Spadła na nią atomowa bomba redaktorska w postaci Pana Tomka. Człowieka, który nauczył mnie wszystkiego.

Miałam 14 lat. Wielu moich znajomych śmiało się ze „Śmigła”, które było przecież – powiedzmy to sobie szczerze – po prostu większą międzyszkolną gazetką, chociaż wydawaną na dobrym papierze. 3000 sztuk nakładu. Dziś może się to wydawać niewiarygodne, ale to była prawdziwa, profesjonalna redakcja. Tam nauczyli mnie wszystkiego – warsztatu, przecinków, szukania tematów, zadawania właściwych pytań we właściwym momencie. Mieliliśmy własne kubki, były komputery i wygodne krzesła. Były kłótnie, dyskusje i czasem takie pomysły, że wstyd się przyznać. Były regularne zebrania, prawdziwa korekta tekstów, omawianie strona po stronie tego, co znajdzie się w kolejnym numerze. Nie było clickbaitów, Facebook dopiero powstawał, a na redakcyjne kolegium trzeba było przyjechać z kartką papieru i długopisem. I nie można było się dodać do znajomych. Chyba że w rzeczywistości.



Hektolitry herbaty, burzliwe dyskusje, setki wylanych łez ze śmiechu, nieraz zaciśnięte z zacietrzewienia pięści, gdy redakcyjne negocjacje przyjmowały gorący obrót.

„ Tam nauczyli mnie wszystkiego – warsztatu, przecinków, szukania tematów, zadawania właściwych pytań we właściwym momencie.

OD „ŚMIGŁA” DO INTERII

Minęły lata. Nie ma już dzwonoń, ja nie piszę recenzji, telefony działają na dotyk, a internet jest sprawą bardziej oczywistą niż to, że jutro wstanie słońce. Po drodze pracowałam w serwisach młodzieżowych, regionalnych, newsowych i kulinarnych. Pisałam też pod własnym szyldem, a gościnnie zdarzyło mi się napisać nawet coś o sporcie. Przeszłam przez przeróżne redakcje i tytuły, by dziś, po 14 latach w branży, pracować w Interii – jednym z czterech największych portali informacyjnych w Polsce, i we Fly4free – jednym z najpopularniejszych w branży podróżniczej. Dziś z przyjemnością łączę pisanie z podróżami, a podróże z pisanem. Mimo postępu technologicznego wciąż nie rozstaję się z tradycyjnym, analogowym notatnikiem. Wciąż pamiętam wszystkie rady Pana Tomka, który dzielnie ścierał się i służył pomocą kolejnym rocznikom pojawiającym się w „Śmigle”. Temu samemu, który dzielnie stawiał czoło mojemu charakterowi



i temperamentowi, który nigdy nie należał ani do ułożonych, ani do łatwych. I gdy widzę, jak te 14 lat mojej pracy, w tym przynajmniej 5 pod skrzydłami „Śmigła” i „Młodego Krakowa”, zbiega się w reportażach z niezwyklejnych miejsc w tekstach, które mają po 9 tysięcy znaków i „klikają się” jak szalone, mimo że podobno nikt już dzisiaj nie czyta długich form, a kluczowe są krótkie, szybkie newsy z kontrowersyjnym nagłówkiem – to serce mięknie mi jak maselko na słońcu.

WAŻNE PRZYJAŹNIE

Spotykam na swojej drodze ludzi, z którymi wtedy siadaliśmy co piątek przy jednym stole, by przegadać, czy ważniejszy będzie numer o marzeniach, czy może jednak o zdobywaniu umiejętności. Niektórzy też obrali redakcyjną drogę. Mijamy się w pracy, na konferencjach prasowych albo przynajmniej na Twitterze, gdzie nie mniej ochoczo niż kiedyś rzucamy swoimi opiniami na lewo i prawo. Inni mają swoje firmy, zajęli się marketingiem, zupełnie inną branżą albo założyli rodziny.

Czasem, gdy nie jestem pewna, czy mój tekst jest w porządku, myślę o tym, co powiedziałaby ON – człowiek, od którego wszystko się zaczęło. Ten sam, który pokreślił mi pierwszy tekst z góry na dół mocniej niż nauczyciele jakiegokolwiek sprawdzian z chemii. A w tej dziedzinie jestem tumanem godnym nagrody Darwina, więc bywały to krwawe klasówki. Ten sam, który nigdy nie szczędził słów krytyki, ale żadne z nich nie było na wyrost albo bez przyczyny. Ten, który tłukł do głowy zasady najbardziej klasycznego dziennikarstwa. Ten, który mianował mnie „małym czarnym”, co przez wiele lat przyjmowałam z uśmiechem. Chyba



nikt mi nie załatwił tak długotrwałej ksywki. Ten, który kazał się zastanowić, po co piszę dany artykuł, kto go przeczyta i co chciałabym właściwie powiedzieć. Może dlatego nigdy nie stworzyłam niczego w stylu: „Jedź ziemniaki przez tydzień codziennie, a nie uwierzysz, co się stanie”. Po prostu nie.

SŁOWO NA POŻEGNANIE

Dziś, gdy piszę ostatni artykuł dla tego tytułu, właściwie całe te 5 tysięcy znaków powyżej mogłabym zamknąć zaledwie w kilku. Ale za to wyjątkowych i aż nadto wymownych – po prostu DZIEKUJĘ.

 Aneta Zajac





Dzisiaj pracuję w radiu i telewizji.
Ale zaczynałam w „Śmigle”.
I to ono mnie wkręciło!

Redakcyjna furtka do przyszłości

Mam na imię Angelika, mam 26 lat, jestem młodą dziennikarką. Pracuję w RMF MAXXX, gdzie czytam wiadomości. Poza tym jestem reporterką w TVP Kraków, a w najbliższym czasie planuję „rozkreść” swój kanał na YouTube dotyczący biznesu. To tak w dużym skrócie. „Śmigło” mnie wkręciło.

REDAGOWANIE ZOSTAŁO ZE MNA

Wszystko zaczęło się przed kilku laty w redakcji „Śmigła”. Wtedy to, jako licealistka, na spotkaniach dla liderów młodzieżowych Krakowskiej Akademii Samorządności poznałam redaktora „Śmigła”. Wkrótce przyłączyłam się do „śmigłowej rodziny” i ten czas wspominam zawsze z uśmiechem. Nauczyłam się bardzo dużo. Spotykaliśmy się w budynku w okolicy ronda Mogińskiego. Pamiętam merytoryczne rozmowy podczas zebrań i wszystkich tych fajnych ludzi, których rozmowy poznałam. Z umiejętności dziennikarskich, zdobytych już dobrych kilka lat temu, korzystałam każdego dnia w mojej pracy. W radiu, zanim przeczytałam wiadomości, muszę znaleźć ciekawe informacje i ułożyć z nich swój tekst całości. Ale gdyby chodziło tylko o napisanie... Trzeba to zredagować w ciekawy sposób, aby zachęcić słuchacza, by przez najbliższe cztery minuty pozostał przy radiodiodni, nie zmieniając stacji.

NIE TYLKO PISANIE

W czasie mojego zaangażowania w tworzenie „Śmigła” nauczyłam się pracy w grupie. Była istotna m.in. podczas wydawania książki o Krakowie. Sześć lat temu wspólnie z trójką przyjaciół wydałam książkę „18 cudów Krakowa według młodzieży”, zawierającą opisy interesujących miejsc w każdej krakowskiej dzielnicy. Autorami tekstów byli młodzi ludzie. Wydanie książki kosztowało ponad 20 tysięcy złotych, a my z własnych kieszeni nie dołożyliśmy ani grosza. Rozumiecie? Młodzi ludzie wydali książkę za tyle kasy

i to jeszcze nie pochodzącej z ich kieszeni! No oczywiście zajęto nam to trochę czasu, bo pracowaliśmy nad tą książką około roku, ale było warto. W pracy nad tym projektem wykorzystywałam umiejętności zdobyte w Krakowskiej Akademii Samorządności oraz podczas śmigłowych spotkań. Musiałam pracować w grupie, a nie zawsze było łatwo, mimo że nasz zespół był mały. Każdy miał inny pomysł na książkę, każdy chciał rządzić itp. Ja byłam przede wszystkim odpowiedzialna za pozyskiwanie sponsorów, którzy zechcieliby ufundować wydanie publikacji. Odpowiadałam także za kontakt z mediami. Wcześniejsze „obycie” w „Śmigle”, związane z koniecznością rozmawiania z różnymi ludźmi, pozwoliło mi nauczyć się przekonywać innych do moich racji.

STAŁAM SIĘ OBOWIĄZKOWA

Kolejną ważną umiejętnością, którą wyniosłam z „tamtych czasów”, jest dotrzymywanie terminów i obowiązkowość. Na napisanie artykułu do „Śmigła”, jeśli mnie pamięć nie myli, mieliśmy dwa tygodnie. Ale najważniejsze było to, że gdy obiecaliśmy coś naszemu redaktorowi naczelnemu, to trzeba było dotrzymać danego słowa i dochować zapowiedzianego terminu. No wiadomo, wtedy nie zawsze wychodziło. Ale teraz zdecydowanie dotrzymywanie terminów jest moją mocną stroną. Dla przykładu: zadzwonił do mnie pan Tomek i poprosił o napisanie takiego artykułu. Zapytałam, ile mam na to czasu. Odpowiedział, że dwa tygodnie. Obiecałam, że zrobię to maksymalnie w tydzień, ale okazało się, że jeszcze tego samego dnia przysiadłam i napisałam. Jako Wasza starsza koleżanka chcę powiedzieć, że warto działać, podejmować wyzwania, angażować się w ciekawe projekty. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: później będzie Wam zdecydowanie łatwiej. Będziecie zorganizowani, odważni i bogaci w ciekawe doświadczenia. Ja jestem najlepszym przykładem, że aktywność popłaca!

 Angelika Wielgus-Lach

Po co czytać?

Byliście naszymi Drogimi Czytelnikami, dlatego znikając z mapy wydawniczej Krakowa, chcemy Wam zostawić jeszcze jedną, ostatnią myśl, która może zostanie z Wami, gdy „Śmigła” już nie będzie.



Nie ma takiego dnia, w którym byśmy czegoś nie czytali. Nie chodzi o opasłe tomiska lektur, ale o zwykłe wiadomości tekstowe czy nagłówki postów na portalach społecznościowych. Choćby było to jedno zdanie, to możemy powiedzieć, że dzisiaj coś przeczytaliśmy. Skoro ta czynność jest rutyną, to warto zadać pytanie: po co czytać? By sprawdzić, czy jesteśmy tego świadomi?

CZYTANIE ZE SKUPIENIEM

Takie pytanie najlepiej zadać ekspertom, czyli ludziom, którzy czytać lubią i robią to każdego dnia. Co ciekawe, pytanie nie brzmiało, po co czytać książki, lecz po co czytać, ale i tak wszyscy

zapytani zrozumieli je w pierwszy sposób. Dlaczego? Bo czytanie kojarzy się z dłuższą, ambitniejszą, wymagającą dużego skupienia czynnością. Nikt z nas nie mówi: „czytałem Facebooka”, tylko „przeglądałem”, bo jest to zakodowane w naszej świadomości jako coś lekkiego i przyjemnego. I rzeczywiście tak jest, bo istnieje znacząca różnica pomiędzy czytaniem książki, artykułu a czytaniem esemesa lub posta. Jednak bądź co bądź w dużym uproszczeniu sprowadza się to do tego samego. Chodzi tylko o zmianę postrzegania wykonywania tej czynności.

BOGATE SŁOWNICTWO MILE WIDZIANE

Jedna z najpopularniejszych odpowiedzi, brzmi: bo czytanie poszerza zasób słownictwa, nie tylko w znaczeniu, że możemy posługiwać się ambitniejszymi wyrazami, ale również – że potrafimy poprawnie pisać i mówić. Niby nic odkrywczego, bo zapewne taka odpowiedź pojawia się u każdego, kto pisał kiedyś wypracowanie na język polski o podobnej tematyce. Jednak ten wniosek ma o wiele większe znaczenie. Załóżmy, że chłopakowi podoba się dziewczyna i chce do niej napisać. Na początku stara się, by każde zdanie było poprawnie zbudowane, ale z czasem

„Dzięki książkom możemy w prosty sposób dojść do wiedzy, do której ktoś dochodził latami”



w jego wypowiedziach zaczynają pojawiać się błędy, po kilku tygodniach dziewczyna zauważa, że notorycznie pojawiają się te same i zaczyna ją to irytować. Nie chodzi tutaj o brak końcówek czy przecinków, ale na przykład o pisanie „tesz” zamiast też lub „pużno” zamiast późno.

JESTEŚ KIMŚ INNYM

Druga popularna odpowiedź mówi, że czytanie poszerza wyobraźnię i pozwala oderwać się od rzeczywistości. Angelika wspomina, że gdy była w gimnazjum, w wolnych chwilach czytała sporą ilość romansideł i wyobrażała sobie, że jest bohaterką tychże książek, co pozwalało jej przeżywać razem z nimi ich rozterki, ale też była to szansa na ucieczkę od problemów. Pojawia się więc psychologiczny aspekt czytania, dzięki któremu można się odstresować. Ksenia widzi jednak w tym coś głębszego: „Gdy czy-

tamy, otwierają się przeróżne drzwi, które powodują, że w czymś dalej jesteśmy bądź całkowicie zmieniamy swoje spostrzeżenia na dany temat. Uczymy się na czyichś błędach, mamy też małe spojrzenie na „nowe sytuacje”. Wykończeniem tych przemyśleń są słowa Ani: „Dzięki książkom możemy w prosty sposób dojść do wiedzy, do której ktoś dochodził latami”. Czyli czytanie ułatwia życie, bo poszerza naszą wiedzę, ale też pozwala wyrobić sobie własne zdanie. Od moich rozmówców usłyszałam też opinie – prawdziwe „perełki”, nietuzinkowe i kreatywne. Np. „czytanie jest jak poznawanie nowych ludzi”; „czytanie w obcym języku pozwala szybciej się go nauczyć”; „czytanie wpływa na nasze motywacje”.

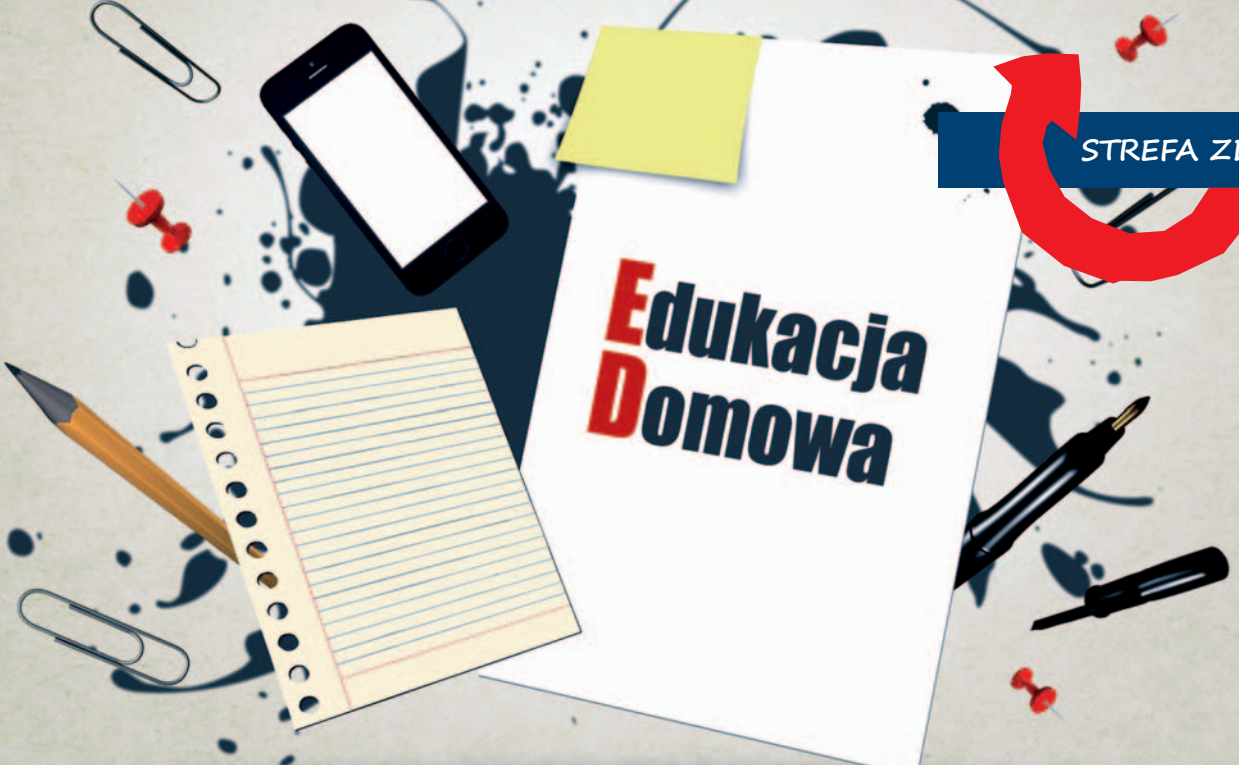
NASZE PRZESŁANIE

Ponieważ byliście naszymi Drogimi Czytelnikami, którzy chcieli czytać nasze teksty, a teraz „Śmigło” znika z mapy wydawniczej Krakowa, chcemy zostawić Wam jeszcze jedną, ostatnią myśl, która może zostanie z Wami, gdy „Śmigła” już nie będzie. A brzmi ona krótko i prosto: „Czytać warto!” (również gazety). Warto też czasem zastanowić się nad pytaniem, po co czytamy, a tym bardziej znaleźć odpowiedź we własnych doświadczeniach, by wiedzieć, czym dla nas jest czytanie i po co to robimy.

 Martyna Smoter

„Warto też czasem zastanowić się nad pytaniem, po co czytamy, a tym bardziej znaleźć odpowiedź we własnych doświadczeniach, by wiedzieć, czym dla nas jest czytanie i po co to robimy.”





Edukacja Domowa

Bez klasówek, ocen, bez barier

Edukacja domowa – inny sposób na zdobywanie wiedzy

Ale jak to będziesz się uczyć w domu? W ogóle nie będziesz musiała chodzić do szkoły? To tak można? Co ze znajomymi? Ogarniesz sama materiał? – zasypywałam pytaniami koleżankę z harcerstwa, która chwilę wcześniej oznajmiła mi, że w gimnazjum będzie uczyć się w ramach edukacji domowej. Dla mnie była to całkowita nowość i bardzo zaciekała zarówno mnie, jak i moją mamę. Nie przypuszczałam w tamtym momencie, że już niedługo sama będę musiała odpowiadać na setki podobnych pytań. Jestem teraz w trzeciej klasie gimnazjum (tak, to ten zagrożony wyginięciem gatunek) i dwa lata temu rozpoczęła się moja przygoda z edukacją domową.

CZYM WŁAŚCIWIE JEST EDUKACJA DOMOWA?

Nie mówimy tu o nauczaniu indywidualnym, kiedy szkoła zapewnia prywatne lekcje z nauczycielami i które jest zazwyczaj spowodowane jakąś chorobą, niemożliwością uczestniczenia w grupowych zajęciach szkolnych. Na edukację domową może się zdecydować każdy – od rozpoczęcia edukacji aż do ukończenia liceum. Dlatego mam na myśli zarówno dzieci, które świetnie radzą sobie w szkole, jak i te nieczujące się w niej dobrze, aż

po osoby z problemami chorobowymi. Osoby edukowane domowo nie chodzą do „normalnej” szkoły, ale uczą się samodzielnie, ze wsparciem swoich rodziców.

W PRAKTYCE

Droga do szkoły nie zajmuje mi wiele czasu – od łóżka do biurka mam mniej więcej dwa metry. Uczę się średnio od 8:30 do 13:30, a popołudnie poświęcam głównie na codzienne zajęcia dodatkowe, których mam co niemiara. Tak to wygląda u mnie, jednak każdy ma swój indywidualny tok uczenia się. Na przykład moja siostra nie lubi uczyć się w swoim pokoju i nie ma sztywno ustalonych godzin nauki. Woli wstać trochę później i przyswajać wiedzę w bibliotece – tam łatwiej jej się skupić. Dzieci w ED biorą udział w różnych warsztatach organizowanych przez szkołę lub poza nią. Niektórzy dużo podróżują i zwiedzają miejsca, o których się uczyli. Szkoła w Koszarawie Bystrej, której formalnie



Na edukację domową może się zdecydować każdy – od rozpoczęcia edukacji aż do ukończenia liceum.



jestem uczennicą, organizuje m.in. warsztaty narciarskie – pięć dni na śniegu, a szóstego zawody zarówno dla dzieci, jak i dla rodziców. A co z nauką języków i bardziej zaawansowanych przedmiotów? Cóż, każdy podchodzi do tego w inny sposób. Jedni chodzą na zajęcia dodatkowe, innym wystarczą filmiki w internecie – jest wiele opcji. Ja chodzę na zajęcia, gdzie dużo rozmawiamy po angielsku, a gramatykę robię z tatą. Roczne-go materiału z drugiego języka w tamtym roku nauczyłam się za pomocą korepetycji w trzy miesiące. Z chemią sama sobie radzę, a ponieważ mnie ona specjalnie nie interesuje, przerabiam ją tylko tak, by przyzwoicie zdać egzamin. A jeśli mam problemy z matematyką czy fizyką, pomaga mi mama, która była na mat-fizie w liceum i razem udaje nam się zrozumieć trudne zagadnienia. W młodszych klasach oczywiście wkład rodziców w edukację dziecka jest znacznie większy, a u najmłodszych wręcz niezbędny. Jednak na poziomie gimnazjum (teraz już siódme, ósme klasy) i liceum uczniowie są w stanie poradzić sobie z większością materiału samodzielnie.

EGZAMINY

A co ze sprawdzaniem wiedzy nabytej przez ucznia? Przecież nie ma kartkówek, odpowiedzi przy tablicy i regularnych sprawdzianów. Od tego są egzaminy. Organizowane są w szkole, która prowadzi ED i do której uczeń jest zapisany (nie, to nie jest niestety tak, że uczący się w domu nie istnieją w systemie i mogą robić co chcą). Taki egzamin jest jeden z całego przedmiotu na rok szkolny i składa się z dwóch części – pisemnej i ustnej. Najtrudniej jest wszystko zaliczyć prawdopodobnie w pierwszej klasie liceum, ponieważ jest tam aż... 13 przedmiotów do zdania. Jednak większość osób świetnie radzi sobie z egzaminami, a co inteligentniejsi zdają wszystko nawet do końca marca, a potem... mają czas na rozwijanie swoich zainteresowań i pasji. Co więcej, taki egzamin można zdać (może to też zależeć od szkoły) w dowolnym momencie roku. Niektórzy uczą się jednego przedmiotu dwa tygodnie, od razu go zdają i po prostu zabierają się za następny. Jak widać – nie trzeba się uczyć wszystkiego naraz.

Pamiętam mój pierwszy egzamin ustny z geografii. Miałam obawy związane z wizytą. Weszłam do małego pokoiku, cała drżąc, ze spoconymi dłońmi. Zza niewielkiego stoliczka uśmiechnął się do mnie nauczyciel – pan Miłosz, którego widziałam już parę razy i wydawał się bardzo sympatyczny. Na wstępie zapytał mnie, czy się denerwuję. A kiedy dowiedział się, że to mój pierwszy raz... No cóż... Możliwe, że sam się trochę zestresował. Oczywiście wcale nie było tak strasznie, jak mi się wydawało. Dostawałam tyle czasu, ile potrzebowałam na namyślenie się nad odpowiedziami, a moje spięcie zostało skutecznie rozładowane przez pana Miłosza już na początku.

EDUKACJA BEZ OGRANICZEŃ

Dziecko w klasach I–III pisze swoje książki o kosmosie, wulkanach czy gwiazdach. Czyta o nich, choć ta wiedza znajduje się dopiero w podręcznikach klas sporo starszych. Między innymi takie są właśnie skutki nauki w domu. Nie ma granic w rozwoju, nie trzeba się przystosowywać do systemu i poziomu innych, podporządkowywać przyjętym normom. Każdy może pracować we własnym tempie i na własnych zasadach – tak, jak mu najwygodniej. Uczeń ma czas i przestrzeń dla pracy, która będzie opierać się przede wszystkim na zainteresowaniach.



W edukacji domowej ogromnym plusem jest duża ilość czasu, którym każdy gospodaruje według własnego uznania. No bo jak to wygląda w szkole? Najpierw trzeba uspokoić klasę po przerwie. Potem sprawdzanie obecności. Znowu ktoś zaczął przeszkadzać i znów trzeba uciszać. Jakaś fajtapa po raz trzeci prosi, żeby podyktować ostatnie zdanie, bo za żadne skarby nie jest w stanie go zapamiętać ani zapisać szybciej. Komuś trzeba po raz kolejny wytłumaczyć proces, który wszyscy już zrozumieli, bo mu budzik nie zadzwonił albo podczas ostatniej lekcji uczył



Każdy może pracować we własnym tempie i na własnych zasadach – tak, jak mu najwygodniej. Uczeń ma czas i przestrzeń dla pracy, która będzie opierać się przede wszystkim na zainteresowaniach.

się na sprawdzian z innego przedmiotu. Po południu wszystko jeszcze raz należy przerobić w domu, a tu się nagle okazuje, że już blisko północy i trzeba zarwać nocną, żeby nie oblać kolejnego sprawdzianu i tych kilku kartków...

NIE MOTYWUJĄ MNIE OCENY

Kolejną sprawą jest motywacja. W szkole funkcję motywacyjną pełnią oczywiście przede wszystkim oceny. No i nauczyciele patrzący potępiającym wzrokiem, jeśli się czegoś nie umie. Ja zawsze bałam się zadawać pytania na lekcji, właśnie z obawy przed takim oskarżającym spojrzeniem, które wytknie mi, że „to już dawno powinnaś wiedzieć”, i przed wyśmianiem przez rówieśników. Bałam się popełniać błędy. Natomiast motywacją homeschoolersów jest przede wszystkim zdobywanie wiedzy, ciekawość świata. Egzaminy trzeba zdać jak najlepiej – wiadomo. Ale oceny nie są aż tak istotne. Najważniejsze jest to, czego się dowiedziałam i czym mogę się podzielić. Natomiast błędy mają charakter bardziej kameralny i jest więcej czasu oraz przestrzeni na ich poprawę.



CZY UCZEŃ ED JEST ALIENEM?

Co z kolegami, koleżankami? W szkole każdy ma swoją klasę, a w domu? Czy nie jest się odizolowanym od ludzi i czy takie dziecko nie wyrośnie potem na osobę nieumiejącą sobie poradzić w grupie? Otóż nie. W moim przypadku jest wręcz odwrotnie. W podstawówce ciężko mi było nawiązywać kontakty z rówieśnikami i trzymałam się raczej z boku. Po tych dwóch latach ci, co mnie wcześniej znali, widzieli ewidentną różnicę. Uwielbiam spędzać czas ze znajomymi i zdarza się, że sama proponuję wspólne wyjścia czy nawiązuję rozmowy. Mam kilka środowisk, w których się obracam. Są w nich osoby, z którymi wiem, że chcę utrzymywać kontakt i których naprawdę lubię. Ludzie uczący się w domu mają przede wszystkim znajomych, z którymi łączy ich jakaś wspólna pasja, marzenia, chęć rozwoju, a nie tylko rocznik. Czy to harcerstwo, piłka nożna, ognisko modelarskie czy jazda



Motywacją homeschoolersów jest przede wszystkim zdobywanie wiedzy, ciekawość świata.

konna. Różnorodność wiekowa też nie przeszkadza, a wręcz pomaga. Młodszy uczy się od starszych, starsi pomagają młodszym i obserwują ich rozwój. No bo bądźmy szczerzy – ilu znajomych z podstawówki czy liceum zostaje na całe życie?

NAUKA SAMODZIELNOŚCI

Kolejną zaletą jest nauka samoorganizacji, usamodzielnienie się. Trzeba zagospodarować czas, rozplanować naukę i egzaminy, zdecydować o zajęciach dodatkowych i czasem znaleźć ciekawe warsztaty, na których można by się czegoś dodatkowego dowiedzieć, zastosować wiedzę w praktyce. Szkoła zapewnia cały plan zajęć z góry, na lekcje trzeba chodzić i koniec. A nauka samodzielna uczy samodyscypliny i organizacji.

Wreszcie rodzina. Rodzice, którzy mogą obserwować codzienny świat dziecka, potrzebę ciszy i skupienia, rozwój pasji i pracy. Częstsze wspólne posiłki i wyjazdy – chociażby nawet na egzaminy czy warsztaty. I nie dotyczy to tylko tych młodszych dzieci. Jeszcze parę tygodni temu uczyłam się genetyki i biegałam z jednego pokoju do drugiego tylko po to, żeby powiedzieć mamie, że mam niebieskie oczy, więc ona i tata muszą być chyba heterozygotami. Bo żadne z nich niebieskich oczu nie ma. Wydaje się to trochę żenujące i śmieszne, ale jest jednocześnie niesamowite.

OTWARTY UMYŚL

Jak widać, aby się uczyć, wcale nie trzeba chodzić do szkoły (oczywiście nie zachęcam do wagarowania!). Nie twierdzę, że edukacja domowa jest lepsza od zwykłej szkoły, jednak warto otwierać się na różnorodne możliwości, a niekoniecznie iść tak jak wszyscy. Wciąż otwiera mnie ona na przygodę, niestandardowe rozwiązania, nowe miejsca, ludzi w innym wieku i nieprzymusowe pochłanianie wiedzy. Przyczyniła się też do rozwinięcia zdolności rozmawiania z innymi i wyrażania własnego zdania. Zresztą podajmy konkretne przykłady: Albert Einstein, Thomas Edison, C.S. Lewis, Pierre Curie – oni wszyscy zakosztowali właśnie edukacji domowej. Więc czy po ED można wyjść na ludzi? Oceńcie sami...

 Lidia Kędra



Orły na nartach latają **wysoko**

Skoki narciarskie są dziś bardzo popularną dyscypliną sportową. Nie zawsze jednak wyglądały tak, jak obecnie.



fot. Wikipedia – Christian Bier

Skoki narciarskie są najbardziej popularną dyscypliną zimową na świecie. Według szacunków Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS) mają one dwa razy większą oglądalność niż hiszpańska liga piłki nożnej. To jest aż 2,781 miliarda widzów. Mimo że sport ten jest niezwykle elitarny. Nie każdy może skoczyć i do tego jeszcze przeżyć. Zawodników jest około 150 na całym świecie. Zanim jednak nadeszła era Stocha, Freitag czy Krafta, minęło około 200 lat ciągłej ewolucji i zmian tego sportu. Dawniej wyglądał on zupełnie inaczej niż dziś.

„DECHY” Z NORWEGII

Skoki narciarskie, jak wiele dyscyplin zimowych, narodziły się w Norwegii na początku XIX wieku. Bardzo różniły się jednak od współcześnie nam znanej dyscypliny. Narty były wykonane z desek – stąd potocznie nazywano je „dechami”. Przymoco-

wywano je do butów, a skoczkowie zjeżdżali nimi ze stromej góry. Na końcu „toru” znajdowała się rampa, z której się odbijano. W locie machano rękami jak przy lekkoatletycznym skoku w dal (tzw. styl klasyczny). W takich właśnie warunkach w 1808 roku w miejscowości Eidsberg Olaf Rye pokonał odległość 9,5 metra. Był to pierwszy zanotowany rekord świata, a w zasadzie w samej Norwegii, bo tylko tam sport ten był znany. Wszystko zmieniło się w latach trzydziestych XIX wieku, po tym jak angielski dziennikarz Llewellyn Lloyd zrelacjonował zawody skoków narciarskich w norweskiej krainie Telemark. „Zobaczyłem tu zabawę, która była znana wszystkim mieszkańcom tego zakątka – zjazd na nartach po bardzo stromym stoku górskim” – pisał Lloyd w czasopiśmie „Filed Sports of the North of Europe”. Wielu turystów zaczęło przyjeżdżać do Norwegii, aby na własne oczy zobaczyć latających narciarzy. I tak sport ten zawitał do reszty krajów skandynawskich, potem do Europy środkowej (Niemcy, Austria, Szwajcaria) oraz USA. Przełomowy okazał się rok 1861, kiedy to w Norwegii założono pierwszy klub narciarski „Trysil Shooting and Skiing Club”. Pięć lat później zorganizowano pierwsze oficjalne „Holmenkollen Nordic” – Igrzyska Nordyckie. Nowym rekordzistą okazał się Sandre Norheim, który w Skien pokonał 19,5 metra. Popularność skoków narciarskich rosła coraz bardziej. Na zawody w Oslo z 1882 roku przyjechało aż 20 tysięcy kibiców!

STYL V

Na tym etapie zaczęto myśleć, jak zwiększyć odległości pokonywane przez skoczków. Początek XX wieku to budowa wielu profesjonalnych skoczni (Oslo, Planica, Wielka Krokiew). Większe

„ **Skoki narciarskie, jak wiele dyscyplin zimowych, narodziły się w Norwegii na początku XIX wieku.**

fot. Wikipedia – Zimowa Olimpiada w Chamonix, 1924 r.



Skoki narciarskie na pewno stały się fenomenem zimowych sportów, bo spełniają jedno z największych marzeń człowieka: lot nad ziemią niczym ptak.

tory wydłużyły loty narciarzy, ale zwiększyły też ilość wypadków. Niestety, styl klasyczny wymagał od skoczka wiele umiejętności. Przy jednym nieprawidłowym ruchu można było spaść z impetem na ziemię. Sensacją okazał się skok Andersa Haugea na zawodach w Stemboat Springs w USA (1920). Długość tego lotu wyniosła aż 65 metrów, a wykonywany był zupełnie nową techniką. Hauge przechylił się mocno do przodu, trzymając narty równolegle. Opracowana przez niego technika, doskonalona w świecie skoków przez cały XX wiek, nadała skoczkom aerodynamiczny kształt, przez co zmniejszono opory powietrza. Była też o wiele



fot. Wikipedia – Bjoertvedt

bezpieczniejsza, gdyż prędkość przy lądowaniu malała nawet o 50 km/h. Styl V, jak go później nazwano, przez długi czas był niżej punktowany niż styl klasyczny. Dochodziło do takich sytuacji, że pomimo skoku na dużą odległość zawodnik przegrywał, bo sędziowie odejmowali noty za technikę. Zmiany nadeszły w latach pięćdziesiątych XX wieku. Wtedy to obydwa style zrównano punktowo. Ale „klasyk” powoli zaczął przechodzić do lamusa...

STO I O METR DALEJ

W lutym 1924 roku założono Międzynarodową Federację Narciarską (FIS), co poskutkowało organizacją pierwszych Zimowych Igrzysk Olimpijskich. Każde kolejne odbywały się co cztery lata. Rekord odległości cały czas się zwiększał, aż do roku 1936. Wtedy to austriacki skoczek Josef Bardl w Planicy (Słowenia) skoczył 101 metrów. Niemożliwa jeszcze kilka lat wcześniej bariera została przekroczona. Po turnieju pewien dziennikarz zapytał go: „Gdzie leżą granice narciarskich skoków?”. Austriak odpowiedział: „Pewnego dnia ktoś pofrunie na odległość 200 metrów,

o ile będzie istnieć dostosowana do tego skocznia”. Przepowiednia ta sprawdziła się, ale świat musiał na to poczekać aż 56 lat.

„EDDIE ZWANY ORŁEM”

W historii skoków narciarskich startowało wielu ciekawych zawodników. Jednym z nich był Eddie Edwards, pierwszy brytyjski skoczek na zimowych igrzyskach. Urodził się w 1963 roku w robotniczej rodzinie, a jego największym marzeniem od dziecka było zostać olimpijczykiem. Dlatego mając 22 lata i nadwagę postanowił... skakać. Cała jego rodzina uznała go za wariata i szaleńca, ale on zaczął realizować swój plan. Ze względu na to, że w Wielkiej Brytanii nie było żadnej skoczni, na własny koszt pojechał do USA, gdzie ćwiczył w Lake Placid (1985). Jak można się było spodziewać, treningi szły mu bardzo ciężko. Podczas jednego nieudanego lądowania omal nie zginął. Po powrocie do Anglii dołączył do narodowej reprezentacji mającej jechać na konkurs w Sankt Moritz (1986). Wykorzystał fakt, że jedynym wymogiem startu w zawodach o Puchar Europy było zdobycie mistrzostwa w swoim kraju. Wielka Brytania nie miała żadnego skoczka od 52 lat, a rekord z 1934 roku wynosił 63 metry. Edwards bez problemu pokonał tę odległość, mimo stosunkowo małego doświadczenia. Na zawodach wywołał prawdziwą sensację, mimo że zajął ostatnie miejsce. Kibice pokochali go za to, że choć wielu nazwało go dziwakiem, nie bał się spełniać swoich marzeń. Dostał przezwisko „Orzeł”, a jego kariera trwała do 1997 roku. W tym czasie przynajmniej raz złamał każdą kość. Zdarzało się, że nie zawsze był ostatni, jeżeli ktoś np. upadł przy lądowaniu. Nawet otrzymał specjalnie stworzoną dla niego nagrodę „Najgorszego skoczka olimpijskiego w dziejach”. Jako ciekawostkę warto dodać, że powstał o nim film biograficzny o tytule „Eddie zwany orłem”.

MOŻE 300 METRÓW?

Dla pierwszych skoczków marzeniem mogła być odległość 100, a nawet 50 metrów. Nie mieli takich możliwości technicznych ze względu na brak skoczni i dość intuicyjne zachowanie w locie. Dziś oficjalnym rekordem odległości jest 253,5 m przeskoczone rok temu w Vikersund przez Stefana Krafta. Według wszelkich spekulacji w przyszłości z pewnością zdarzy się skoczek, który polecą o 50 metrów dalej – dzięki coraz skuteczniejszemu treningowi, lepszym skoczniom i technice. Skoki narciarskie na pewno stały się fenomenem zimowych sportów, bo spełniają jedno z największych marzeń człowieka: lot nad ziemią niczym ptak.

 Bartek Hałatek



fot. Wikipedia – Bronisław Czech w skoku z Wielkiej Skoczni na Krokwi, 1934 r.



„Iskra” Stanisław Krzemiński



Stanisław Krzemiński to przede wszystkim reżyser i producent telewizyjny, parający się również pisarstwem. To autor powieści należących do serii „Drogi wolności”. Ich pierwszą częścią jest książka pod tytułem „Iskra”.

Opowiada ona przede wszystkim historię wojenną rodziny Biernackich, ale podejmuje też wątek patriotyzmu drzemiącego w żyjących w tym czasie Polakach. Ignacy Biernacki, główny bohater, zмага się z codziennością, która zmusza go do wielu niezamierzonych wcześniej działań. Przed wybuchem wojny był zwyczajnym człowiekiem, który prowadzi drukarnię, a jego pasją jest fotografia. Ignacy to też kochający mąż, brat, syn i ojciec. Najważniejsze w jego życiu są kobiety. Dla swoich córek jest w stanie poświęcić wszystko. To właśnie dlatego w obliczu wybuchającej wojny decyduje się na heroiczny czyn, jakim jest podjęcie się roli korespondenta wojennego, utrwalającego na kartach historii dzieje walczącej w tym czasie Polski.

Książka przedstawia również losy całej jego rodziny. Trzy wspaniałe córki, które szybko wkraczą w dorosłość, poprzez działalność w rozlicznych komitetach pomocniczych starających się nieść pomoc żołnierzom na froncie. Obrazuje to nie tylko odwagę kobiet w rodzinie Biernackich, ale również rzeczywistość panującą w tamtych czasach. Należy podkreślić, że każda postać ukazana w tej książce w jakiś odrębny dla siebie sposób stara się, chociaż poprzez najmniejsze działania, często heroiczne, ukazać drzemiący w Polakach patriotyzm, jedność i wspólnotę. Czyta się ją niezwykle lekko i przyjemnie. Pomimo że przedstawia losy tak trudne dla żyjących w tamtych czasach ludzi. Serdecznie polecam jej lekturę wszystkim, którzy chcą przenieść się w czasie i poznać parę rodzinnych tajemnic Biernackiego.

 Polecam, Julia, 18 lat



„Ocalony. Ćpunk w Kościele” Andrzej Sowa



Książka „Ocalony” opowiada historię Andrzeja Sowy, który – jak sam twierdzi – został dosłownie ocalony przez Boga. Jego życie nie było łatwe – przemoc domowa, gwałt, pedofilia, wczesne uzależnienie od narkotyków. Znajdziemy tu przejmujący raport z całego tego zła. Autor opisuje ze szczegółami swoje narkomańskie meliny – np. taką, w której chodziły po nim szczury; dziewczynę, która była tak zdesperowana, że nie mogąc znaleźć żyły do wkłucia się, oderwała sobie strupa na pachwinie. Poleciała krew i ropa, odślaniając żywe mięso, wtedy ta z ulgą zaaplikowała sobie narkotyk. Książka jest mocna – autor nie owija w bawełnę, opowiada dosadnie, jak było. Obrazy jego narkomanii są wstrząsające. Trwały przez wiele lat i stracił przez to wiele szans na karierę czy dobre znajomości. A w przyszłości przypomniał mu o nich problemy ze zdrowiem. „Dragi” za-

brały również bardzo dużo jego znajomych, zarówno dalszych, jak i bliższych. Tym piękniejszy jest obraz nawrócenia i życia w zgodzie z Bogiem. Historia jest bardzo autentyczna i poruszająca. Opowiada o niewiarygodnych przypadkach i szczęściu, którego nie da się wręcz logicznie wytłumaczyć. Autor wspomina ze wzruszeniem, jak odnalazł i pokochał Boga od nowa. Udowadnia, że bez względu na to, w jak tragicznej sytuacji znajdujemy się przez własne głupie wybory, Chrystus zawsze chce dla nas jak najlepiej i stara się nas uratować. Nawet wbrew naszej woli. Wystarczy tylko wyciągnąć do Niego dłoń. Książka jest bardzo ciekawa, wciągająca. Czyta się ją w jeden wieczór. Mimo niewielkiej jak na tego typu książki liczby stron uważam, że oddaje ona idealnie całego ducha narkomanii i pozwala odczuć to na własnej skórze. Bardziej przekonująco niż wiele innych, często dłuższych. Polecam!

 Polecam, Sheri, 15 lat

Recenzje napisali uczniowie z Młodzieżowego Klubu Recenzenta działającego przy Gimnazjum nr 19 oraz Zespole Szkół Salezjańskich w Krakowie. <http://recenzje-mlodziezowe.blogspot.com/>

Seleryba

po grecku

Grudzień to miesiąc niewątpliwie magiczny. Skrzypienie butów na śniegu w mroźny dzień czy gorąca herbata przy kominku daje nam poczucie istoty zimy. Jednak często bywa tak, że śniegu w zimie nie ma prawie wcale. Cóż więc sprawia, że wyczekujemy tego miesiąca? Wigilia! Możliwość spotkania się w rodzinnym gronie i zjedzenia wspólnie wigilijnej wieczerzy daje nam niezapomniane wspomnienia!



fot. Klaudia Firkowska

Z biegiem czasu wszystko staje się nowoczesne. Moda, technologia, muzyka i nie tylko. Tradycyjne potrawy wigilijne też ulegają unowocześnieniu. Wraz z nowymi pokoleniami przybywa pomysłów i inspiracji na dania bożonarodzeniowe. Nowe odsłony potraw wydobywają ze składników to, co najlepsze, a wigilia staje się przez to iście królewską ucztą. W XXI wieku mamy do wyboru o wiele więcej składników niż sto czy dwieście lat temu. W sklepach pojawiają się egzotyczne przyprawy, owoce czy ryby. Oczywiście nadal przestrzegamy zasad polskiej tradycji wigilijnej. Nie może zabraknąć wolnego miejsca przy stole czy sianka pod obrusem. To samo tyczy się potraw. Szczególnie dla starszych członków naszych rodzin takie nowoczesne zmiany mogą się wydać nader rewolucyjne. Jednak łącząc tradycję z czymś nowym, tworzymy nowy klimat świąt Bożego Narodzenia. Na pewno warto spróbować czegoś nowego! Tym, którzy nie boją się kulinarnych wyzwań, proponuję nieco inną odmianę przepisu na rybę. Smacznego!



**NASTOLATKOWIE
GOTUJĄ**

Składniki na kilkanaście sztuk seleryby:

• 1 kg selera • 2 litry bulionu warzywnego • 2 arkusze nori
+ 5 arkuszy do owijania kotletów • 2 łyżki sosu sojowego
• 4 liście laurowe • 2 ziarenka ziela angielskiego • 1 łyżeczka
ziaren kolendry • sól i czarny pieprz • do smażenia: mleko
roślinne lub woda, mąka pszenna lub ryżowa i olej roślinny.

Przygotowanie seleryby:

1. Seler obrać, przekroić na pół i pokroić na 1-cm plastry. W dużym garnku zagotować bulion razem z 2 arkuszami wodorostów nori, liśćmi laurowymi, zielem angielskim, kolendrą oraz sosem sojowym. Do gotującego się bulionu dodać plastry selera i gotować do momentu, aż będą bardzo miękkie, czyli około 15–20 minut.
2. Miękkie plastry selera delikatnie wyjąć i chwilę ostudzić. W tym czasie arkusze nori pociąć na węższe paski. Naszykować dwie miseczki; do jednej wlać trochę mleka, a do drugiej wysypać mąkę.
3. Każdy plaster selera oprószyć solą i pieprzem, następnie owijać paskiem nori i chwilę moczyć w mleku, dzięki temu wodorosty zmiękną i lepiej przylepią się do selera. Tak przygotowany plaster selera delikatnie zanurzyć w mące.
4. Na dużej patelni mocno rozgrzać olej i układać gotowe plastry selera. Obsmażać z każdej strony przez 2–3 minuty, podawać z ziemniakami, surówką lub wigilijną kapustą.

Składniki na 1 półmisek (1 porcja seleryby):

• 1 cebula • 1 por (biała i jasnozielona część) • 500 g marchewki
• 150 g pietruszki • 50 g selera • 2 ziela angielskie • 2 liście
laurowe • szczypta chili • olej roślinny • sól • 1–2 szklanki wody
• 3–4 łyżki koncentratu pomidorowego • sól i czarny pieprz

Przygotowanie:

1. Cebulę pokroić w kostkę, por posiekać na talarki. Na dnie dużego rondla rozgrzać olej i dodać cebulę wraz z porem, liściem laurowym i zielem angielskim. Podsmażać na małym ogniu do czasu, aż się zeszkłą.
2. W międzyczasie pozostałe warzywa obrać i zetrzeć na tarce, następnie dodać wszystkie do rondla razem ze szczyptą soli oraz chili. Podsmażać na małym ogniu przez około 5–10 minut, po tym czasie wlać połowę ilości wody z przepisu i dusić kolejne 5 minut. Na koniec wlać resztę wody, dodać koncentrat oraz szczyptę soli i pieprzu. Dusić kolejne 5 minut do czasu, aż warzywa będą bardzo miękkie.
3. Kiedy sos warzywny będzie gotowy, wyłożyć 1/3 na dno półmiska. Na nim ułożyć plastry seleryby, na to ponownie warstwę sosu, kolejną warstwę seleryby i ostatnią warstwę sosu. Odstawić do schłodzenia w lodówce. Najlepiej smakuje następnego dnia!

 Klaudia Firkowska

